

### Na podstawie znanego dowcipu.

George i Frank dokonywali standardowego lotu nad sawanną. Mała awionetka należąca do firmy „Niezapomniane Safari” przed feralnym dniem sprawowała się znakomicie. Na nieszczęście, gdy tylko znaleźli się w najdalej wysuniętym punkcie trasy zgasł silnik. Lecieli około dwustu, trzystu metrów nad ziemią i nie mieli szans nadać S.O.S. zajęci walką o życie. Po kilkunastu sekundach lotu nurkowego rąbnęli w grupę drzew.

Frank Deeb wyciągał przyjaciela z płonącego samolotu. Ogień obejmował już kabinę. Rozległ się dźwięk, jakby pękł balon przekłuty igłą. To płomienie rozszarpały zbiornik paliwem. Żywioł rozlał się po wraku samolotu.

George Newcomer dochodził do siebie. Paskudnie uderzył głową w kokpit przy wymuszonym lądowaniu i gdy tylko lekko ją poruszał, pokazywały mu się mroczki przed oczami. Nie jęknął nawet. Nie takie razy miał na koncie najbardziej znany obieżyświat z wioski turystycznej Okapi. Kiedyś wdawał się w bójki po pijaku w barach Wybrzeża. Nierzadko kończył je w ryszotoku poobijany. Zawsze, gdy jęczał, zjawiał się złodziejasek i uwalniał go od ciężaru wartościowych przedmiotów. Przeżywanie bólu w ciszy stało się jego drugą naturą. Nie jęczał.

Deeb był młodzieńcem ze spieprzonym życiem. Zabrakło przysłowiowego łutu szczęścia i wybryki wieku dojrzwania pociągnęły nieproporcjonalne konsekwencje- dlatego trafił do tej dziury w środku Afryki. Inne niż miejskie życie było mu, mimo kilku miesięcy pracy w firmie, obce i nie umiałby sobie poradzić w naturalnym środowisku. Musiał więc liczyć na starszego kolegę. Podciągnął go w cień pod baobabem i przysiadł na korzeniu. Przyglądał się, jak mężczyzna chwytą się rękami za głowę i kuli w pozycji embrionalnej. Czekał, co będzie dalej.

No i się doczekał. Nagle znikąd wynurzyło się pięciu Murzynów z dzidami. Otoczyli ich. Frank nie rozumiał, co do niego mówią. Podnieśli George'a i oblali wodą.

Newcomer znał tutejsze narzecza na tyle, by się dogadać. Ten język nie był stąd. Co prawda był podobny do mhahzi, ale widać wojownicy przyszedli z daleka i nie mówili dokładnie w ten sposób.

-Wy być jeńcy- powiedział najbardziej umięśniony czarnoskóry.- Wy móc wybierać: śmierć lub bantu- bantu.

- Co on powiedział?- Dopytywał przestraszony Frank.

- Możemy wybierać. Śmierć lub bantu- bantu.

- A co to znaczy bantu- bantu?

Żaden z białych ludzi nie znał odpowiedzi na to pytanie. Jednak George nie chciał wyjść na głupca.

- To taki murzyński rytuał.

- Coś niebezpiecznego?

- Nie, raczej nie.- A do przywódcy Murzynów powiedział- wybieramy bantu- bantu.

Tej nocy cywilizowana dwójka nie miała szansy się wyspać. Wojownicy na długiej wyprawie, pozbawieni żon, wykorzystali okazję, by dać upust chuci. Odeszli rano pozostawiając Franka i George'a z potężnym bólem w dupie. Nasi bohaterowie pozbierali się koło południa.

Deeb chciał wracać prostą drogą do bazy. Newcomer odwiódł go od tego. Podróż sawanną byłaby bardzo niebezpieczna z powodu drapieżników znakomicie potrafiących kryć się w wysokiej trawie. Dużo lepiej, argumentował, pójść skrajem pustyni, aż trafi się na wioski, na cywilizację. Ponieważ George miał autorytet, a właściwie jego resztki po wczorajszej przygodzie, zrobili jak powiedział.

Przeczekali kilka najgorętszych godzin dnia i pod wieczór ruszyli. Kuśtykali, aż nocny chłód przeniknął ich do kości. Rozpalili małe ognisko i poszli spać po jego przeciwnych stronach. Żaden nie chciał drugiemu patrzeć w oczy, ani rozmawiać o tym, co ich spotkało.

Rankiem słońce zbudziło sawannę, a od pustyni wiało skwarne powietrze. Piloci chcieli przejść jak najwięcej, zanim gorąco pokrzyżuje im plany. Dzień zapowiadał się dobrze do chwili, gdy dopadło ich dwudziestu murzynów. Co prawda zobaczyli ich wcześniej i próbowali uciekać, ale nie mieli szans. Frank się popłakał widząc, że nie umkną dzikusom. Wojownicy otoczyli ich kręgiem celując dzidami. Osobnik wyglądający na najstarszego z nich przemówił.

- Wy słuchać teraz!- rzekł uderzając tępym końcem włóczni o ziemię.- Ja dać wam wybór: śmierć lub bantu- bantu.

Newcomer nie musiał tłumaczyć. Wystarczyło wymowne klepięcie się czarnoskórego w pośladek, by nie mieć złudzeń, jaki los ich czeka.

- George, ja nie chcę- chlpał Deeb.

- Musimy.- Obieżyświatowi też łzy stały w oczach.- Jeśli chcemy przeżyć musimy!

Następne dwadzieścia cztery godziny były dla nich istną katogą. Nie trzeba nawet wspominać, że płeć Afrykanów zbudowana jest nieproporcjonalnie i że żadnej kultury obejścia ich w domu nie uczą.

Pozostawieni w samotności długo leczyli duchowe i nieduchowe rany. Fred tak się rozchlipał, że lkał całą noc po odejściu oprawców. George'owi było ciężko, ale postanowił się trzymać.

- Doprowadzę nas do cywilizacji, jeszcze zobaczysz- powtarzał koledze, gdy wydawało się, że tamten słucha.

Jedli złupione o poranku jajka ptaków i schwytane na gorącym piasku jaszczurki. I szli. Przez trzy dni podążali drogą ku cywilizacji. Wreszcie koło południa ujrzeli rzekę i domostwa po drugiej stronie. Były to charakterystyczne chaty czarnych ludzi z dachami ze słomy lub trzciny.

Ulga spowodowana dotarciem do celu mieszała się ze strachem i wstydem. Ciężko im było zdecydować, co powinni powiedzieć o wypadkach przeszłych dni. Przygotowując się do przeprawy rozmawiali na ten temat.

- Nie powiemy nic- zdecydowanie rzucił George. Policzki płonęły mu ogniem na myśl, że znajomi dowiedzieliby się wszystkiego.

- Ja nie wiem, czy... Chyba wyjadę.- Przygarbiony Frank nawet nie podniósł oczu odpowiadając.- Wyjadę z Okapi. Nie mógłbym tak żyć... tutaj.

- Dobrze.- Newcomer bał się w duchu, że młodzik wszystko wypapla, jak się spije. Wyjazd usuwał groźbę.- Mam krewnych w Australii. Z pewnością przyjęli by cię na ranczo.- Deeb wykonał coś na kształt skinienia.

George był obieżyświatem- twardym człowiekiem. Cenił jednak wygody, a robota w „Niezapomnianym Safari” pozwalała mu chlać wieczorami i zbierać brawa od turystów za naciągane opowieści z życia globetrottera. Czasem nawet więcej niż brawa. Zdarzało się, że brzuchaci wycieczkowicze kupowali mu alkohol, by mówić dalej. A niekiedy damy, bo przecież to damy w porównaniu z miejscowymi kobietami, puszczały zalotnie oczko. Z tych powodów nie chciał rozstawać się z pracą i barami Okapi.

Przeprowadzając się zobaczyli, jak na drugim brzegu ucieka grupka czarnoskórych dzieci. Niby nic, a jednak obudziło to u Newcomera niepokój. Po chwili uświadomił sobie, skąd się on bierze. Biegnących dzieciaków było za mało na tak dużą wioskę. Widział już, jak w o połowę mniejszych skupiskach biegają chmary podrostków. Tych było tylko kilkoro. Złe przeczucia wzmogły się. Stłumił je jednak będąc tak blisko upragnionego celu.

Gdy wyczołgali się na małą plażę, czekał ich komitet powitalny. Zdążył naliczyć czterdziestu wojowników z dzidami, nim uderzenie tępym końcem pozbawiło go przytomności.

Ból w głowie nasilał się i opadał zgodnie z rytmem bębnow. Barwne plamy wirowały przed oczami, aż przybrały postać zgromadzonego tłumu. Obok, przytrzymywany od tyłu przez drugiego czarnoskórego dryblasa, pochlipywał Frank. Noc rozświetlało ogromne ognisko płonące przed dziwacznie ozdobioną chatą. Z tyłu grały bębny, a do melodii półgłosem zawodzili zgromadzeni ludzie. Pieśń wydawała się zbyt basowa. Newcomera aż dreszcz przeszedł, gdy odkrył powód. Naprzeciw stały ze dwie setki

wojowników, kilkoro starców i starowinek oraz dzieci i żadnej, ale to żadnej, młodej czy choćby w kwiecie wieku, kobiety. Jedna niewesoła myśl goniła drugą.

Nagle ognisko buchnęło na kilka dodatkowych metrów w górę i przygasło. Zaraz też wyłonił się zza niego szaman w masce hipopotama. Śpiewy wzmożyły się. Tańcząca pokracznie postać zbliżała się. W odległości dwóch kroków od białych ludzi zatrzymała się groteskowo wyciągając do przodu głowę. Wszyscy umilkli.

- Prastary zwyczaj nakazuje dać wybór jeńcom- odezwał się głos zza maski. Co wybieriecie? Śmierć?- Tłum rozdarł okrzyk żałobny.- Czy może bantu- bantu?- Na co zgromadzeni głośno kleпали swoje pośladki.

- Ja nie mogę, ja nie chcę, puśćcie nas- wył Deeb przez łyzy.- Przestańcie, jak możecie być takimi ludźmi! Zabiję was, zabiję, puśćcie mnie!- Nikt prócz George'a go nie rozumiał.

- Śmierć!- zawołał obieżyświat w narzeczu.

Szaman, jakby otrzymał właśnie cios w pysk, zatoczył się do tyłu. Stał przed zamartwym w ciszy tłumem na tle ognia zasępiony.

- Śmierć!- powtórzył ciskając maskę w piach- PRZEZ BANTU- BANTU!

Istne pandemonium- wiwatująca i świętująca zgraja po słowach czarownika wyzbywa się wszelkich zahamowań. Jedni tańczą, inni wrzeszczą, a jeszcze co poniektórzy zrywają z siebie namiastki odzieży. Najwyraźniej chcą brać się za wykonywanie wyroku od razu.

Frank uwiesił się swego goryla i wymiotuje. Przerazenie, strach i napięcie wywracają mu żołądek na drugą stronę. Za chwilę mają się rozstrzygnąć ich losy w wielkiej kilkusetosobowej orgii, a wizja zajebania na śmierć przez tabun murzynów nie zawiera w sobie ani grama przyjemności. George nie chcąc dopuścić tego obrazu do świadomości skupia się na problemie braku kobiet. Dlaczego ich nie ma, gdzie się podziały, szepce do siebie obsesyjnie i w kółko. Na wpół obłąkanym wzrokiem patrzy na jedyną spokojną osobę.

Starzec będący szamanem rozkoszuje się władzą, jaką osiągnął. Wprawili ich w taki amok, przy tym jednocześnie w uwielbienie i wie, że teraz wypełniliby każdy jego rozkaz. Mógłby kazać im zabijać się nawzajem, a uczyniliby to bez mrugnienia okiem i z pełnym zaangażowaniem. Śmieje się bezgłośnie zadowolony ponad miarę, pewien własnej potęgi.

Tylko jeden biały człowiek to dostrzega. Newcomer ma naprzeciw siebie starucha toczącego pianę z bezzębnych ust w parkosyzmach śmiechu. Wielkie ognisko za nim pulsuje żarem. Nagle na sekundę z cienia za budynkiem wynurza się ręka ciskając podłużny kształt w płomienie. Obieżyświat może by się nad tym zastanowił, ale słyszy, jak za jego plecami zbliżający się mężczyźni kłócą się, który z nich zacznie ujeżdżanie. Przebiega go dreszcz po kręgosłupie ściągając do realnego świata.

Wtem ogień eksploduje pochłaniając szamana i rozrywając go na strzępy. Na tłum pada krwawa fontanna siejąc panikę wśród zabobonnych dzikusów. W jednej chwili atmosfera zabawy zmienia się w szaleństwo zwierzęcego lęku. Murzyni tratując się uciekają do rzeki. Lekko ogłuszeni wybuchem piloci wloką się w przeciwną stronę, prosto w noc.

- Chodź Frank.- George ciągnie kolegę nie potrafiącego powstrzymać wymiotów.- Parę dni drogi stąd jest normalne miasto. Widziałem na mapie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).